

Borys Polewoj

ULICA MORSKA

Pobieda była nowiutką, prosto z fabryki. Jej niedotarty jeszcze silnik zaopatrzony był w ogranicznik. Jechaliśmy też, jak się wyraził kierowca, z szybkością „dziewiąty dzień dziesiątą wiorstę”; szofer aż zębami zgrzytał z irytacji, kiedy wymijały go nawet stare ciężarówki kołchozowe, turkocząc rozklekotanymi nadwoziami.

Za szybą, z dreczącą monotonnością, jak we śnie ciągnął się bez końca jednostajny, równy step, połyskujący gdzieś siwawym szronem solnisk. Ale ruch panował tu taki, że nad stepem unosił się kurz niczym szara ciężka mgła. Wszystko dookoła — i potężne słupy linii wysokiego napięcia biegnące wzdłuż drogi, i jej zwisające nisko przewody, i trawa przydrożna, i nawet słysy stojące jak słupki na swoich kopczykach i przyglądające się obojętnie nieprzerwanemu potokowi samochodów — wszystko to pokryte było zamszową warstwą kurzu. Tu i ówdzie kurz ten zaczynał się nagle skręcać w błękitną trawę, wznosił się w górę i wirował niczym słup w ostrej podstawie, jakby sięgając nisko zwisającego bladego nieba, po czym rozpiływał się również w tej samej mglistej kurzawie.

Kurz unosił się nawet wtedy, gdy zapadł chłodny zmierzch jesienny. Światło reflektorów grzęzło w jego szarych, przewalających się kłębach. Samochody sygnalizowały teraz wściekle. Jazda zrobiła się niebezpieczna, więc szofer zaproponował, by skręcić na noc do „pewnego znajomego chutoru”, który słynie ze swego przewodniczącego kołchozu; jest to człowiek energiczny, pełen inicjatywy — a ponadto „wielce łaskawy dla ludzi z budowy Kanału Wołga-Don”. Gdzieś, przy widocznym dla niego tylko znaku przydrożnym szofer skręcił z gościnną na ścieżkę stepową. Wyrwaliśmy się z kurzawy i w godzinę później ujrzelśmy sznur białych, przytulnych świateł elektrycznych i szeroko rozrzucone zabudowania chutoru.

Samochód zatrzymał się przed nowym, obszernym, niewysokim domem zarządu kołchozowego. Mocno zapotniałe okna były jasno oświetlone, a za nimi rysowały się słończone sylwetki ludzi. Z otwartego lufka, niczym z komina buchał sinawy dym machorkowy. Szofer wbiegł do domu i po chwili ukazał się na ganku z krępym mężczyzną w kitlu wojskowym i błyszczących butach. Wycierając chustką gołą głowę, mężczyzna ten podszedł do samochodu, przywitał się i powiedział wesołym, zachrypniętym basem:

— Jedźcie prosto do mojej żony. Udzielę jej zaraz przez telefon wyczerpujących instrukcji. Przyjmie was... A ja, wybaczcie, bardzo jestem zajęty: mamy właśnie odczyt o rolnictwie polewanym — przyjechał prelegent z Moskwy.

I zwracając się do szofera dodał:

— A ty, gwardzisto, marszrutę pamiętasz? Ot tu ulica Morska, a tam — Nadbrzeżna. A więc, Nadbrzeżna 3. Ganeł malowany olejną farbą... to mój. Zadzwonię do

W czasopiśmie „Ogoniok” ukazał się niedawno cykl opowiadań znakomitego pisarza Borysa Polewoja, autora „Opowieści o prawdziwym człowieku”, tematycznie związany z budownictwem Kanału im. Lenina. Z cyklu tego, zatytułowanego „Na wielkiej trasie”, drukujemy niżej jedno opowiadanie w tłumaczeniu R. Bielickiego.

Horpyny. Zwinie się migiem. Bardzo jest ruchliwa.

Nie daliśmy się jednak „zwinąć” gospodyni, która okazała się istotnie bardzo gościnną i roztropną. Powolna jazda przez zakurzony step strasznie nas zmordowała, więc otrzepawszy się z kurzu i umywszy, poszliśmy od razu do przeznaczonego dla nas pokoju, gdzie gospodyni przygotowała już posłania.

Nareszcie więc, po męczącej wioździe przez zakurzony, bezwodny step dotarliśmy do wody! I chociaż nie udało się obejrzeć po ciemku okolicy, same nazwy: ulica Morska czy Nadbrzeżna, w których jakby się wyczuwało wilgotny, chłodny wiaterek, plusk wody i szelest nadbrzeżnych szuwarów, przyjemnie pieściły ucho.

Troskliwa gospodyni osłoniła abażur lampy haftowanym ręcznikiem. W obszernym pokoju, którego ściany pachniały jeszcze żywicą, zapanał przyjemny półmrok; dziwnie i zbyt wyraźnie rysowały się w nim na tle koronkowych firanek jakieś rośliny sterczące w niewielkich doniczkach — zamiast kwiatów wisały na nich twarde i jakby włókniste owoce. Rośliny te wyglądały tu, w domu bardzo niezwykle i trudno było przy tym wyzbyc się myśli, że się je już gdzieś, kiedyś widziało. Ale kiedy, gdzie i u kogo — nie mogliśmy sobie w żaden sposób przypomnieć.

Już przez sen słyszeliśmy, jak wrócił do domu przewodniczący, jak chodził na palcach, skrzypiąc butami, jak delikatnym półszepcemb robił żonie wyrzuty, że pozwoili „ludziom z kanału” położyć się bez kolacji. Stając się nie hałasować, rozmawiał potem przez telefon i zachrypniętym basem dziękował komuś tonem spiskowca za dobrego prelegenta i długo się targował, żeby go jeszcze zostawić „choćaby na tydzień, na pięć dni, no, choćby na jeden dzień” dla udzielenia kołchozowi konsultacji. Kiedy przewodniczący uspokoił się i położył widocznie spać, dwa młode glosy, męski i kobiecy, zaczęły się nagle spierać, co jest korzystniejsze — ryż czy bawełna; spór był gorący i hałaśliwy, ale przewodniczący wciąż tym samym konspiracyjnym szeptem położył mu kres:

— Cicho, spać!

Wszystko ztem: niezwykle nazwy ulic w tej stepowej stolicy, rozmowa telefoniczna z przewodniczącym, ten spór i dziwne kwiaty na oknie — zlało się w ogólne wrażenie czegoś nowego, niezwykłego, co obiecywało na jutro jakieś niespodzianki. Obudziłem się z tym właśnie uczuciem i dowiedziałem się przede wszystkim, że dziwne rośliny na oknie — to krzewy różnych gatunków bawełny; na dole jeszcze kwitną, ale na górze dzwigają już

dojrzałe, pękające torebki. Za koronkową firanką na oknie wiatr poruszał pierzastymi liśćmi młodych akacji, ale za tymi drzewkami zamiast rzeki lub jeziora, które powinno być się ujrzeć z Nadbrzeżnej, rozpościł się wciąż ten sam szary, suchy nagi step; widać go było daleko ze wzgórza, na którym znajdował się chutor.

W sąsiednim pokoju czekało nas suto śniadanie, przykryte czystą serwetką. Gospodarza nie było już jednak w domu. Żona jego, wysoka, stateczna i cała jakaś bardzo mocna z wyglądu Kozaczka, ubrana jak nauczycielka lub lekarka, ale w białej perkalowej chusteczce, zawiązanej pod brodą, oświadczyła, że mąż jeszcze o świcie powiózł swoją bryczką moskiewskiego gościa w step, na pola, gdzie na przyszlą wiosnę kołchoz zamierza zasiać na zraszanych działkach bawełnę i ryż. Opowiedziała, że kołchoźnicy robili doświadczenia już w tym roku i chociaż z wodą wciąż jest jeszcze bardzo trudno — trzeba ją pompować ze studzien z wielkiej głębokości — doświadczenia się udały i wszyscy teraz marzą by uprawy na działkach polewanych tak samo zasłynęły jak winorośl, którą kołchoz przeprowadzając się ze strefy zatapianej troskliwie przeniósł na nowe miejsce.

— A dlaczego tak trudno z wodą?

— Jak to? Do Donu — żeby nie skłamać — j st teraz ze trzydzieści kilometrów. Pompujemy ze studni, ale jak to woda! Słona, twarda. Nawet bydlę się od niej odwraca.

— No, ale ulice nazywają się u was Nadbrzeżna, Morska?

Gospodyni uśmiechnęła się lekko, błysnąwszy mocnymi, białymi jak perły zębami.

— No cóż, że się tak nazywają. Nie nadaremnie je tak nazwano. Tak właśnie będzie. Wiosną tu, do samego naszego domu przyjdzie Morze Cymłańskie, będzie więc Nadbrzeżna... a Morska prowadzić będzie do przystani, nad samo morze. A jakże! Kiedyśmy się zeszłej wiosny przeprowadzili ze starego miejsca i zaczęli tu budować, spierano się w zarządzie, jak nazwać ulice. Dawniej mieliśmy raptem jedną ulicę — ciągnęła się jak kiszka, wzdłuż Donu, a teraz rozbudowaliśmy się tak szeroko — i ulice, i zaułki, i plac. Mamy nawet bulwar; chociaż na razie kokosz nie znajduje tam cienia, żeby schować kurczęta, ale nazwalimy bulwarem. Posadziliśmy drzewa: akacje, wierzby, wiśnie... Rosną.

Umilkła. Jej zręczne ręce spokojnie i przy tym jakoś bardzo troskliwie podsuwały gościom jadło, nakładały co smaczniejsze kaski.

— A do starych miejsc nie tęsknicie?

Gospodyni westchnęła.

— Prawdę mówię? Tęsknię. Nic dziwnego, urodziłam się

tam i wyrosłam. Leżą tam pochowani moi dziadkowie i pradziadkowie i chutor mieliśmy ładny, cały w zieleni... Co tu gadać, nawet starą gruszę żal ścinać! Ale jej z sobą wziąć nie można. No, mąż mój i wielu innych — ci już o starym miejscu zapomnieli. W głowie im teraz tylko bawełna i ryż. Patrzą przed siebie. Nie mają czasu na oglądanie się wstecz. Spierali się wczoraj do późnej nocy, co lepiej hodować. Jedni krzyczą, że ryż korzystniejszy, a drudzy, że bawełna bardziej potrzebna państwu. Mój przyszedł wczoraj po pierwszej w nocy, a młodzi jeszcze później. I jeszcze, widać, nie ochłonęli, bo zaczęli nocą dyskutować, póki ich wreszcie ojciec nie umitył.

Kobieta postawiła na stole talerz z winogronami. Zwisali zeń ciężkie, dojrzałe, ciemnogranatowe grona połyskujące jeszcze poranną rosą.

— To nasze słynne winogrona... Jedźcie! — Gospodyni uśmiechnęła się do jakichś swoich myśli i przestraszywszy się pewnie, żeby goście źle sobie nie wytłumaczyli jej uśmiechu, czym prędzej wyjaśniła: — Powiadacie, dlaczego ulica Morska, a wiecie, o co się u nas sprzecają: czy nie zmienić starej nazwy chutoru. Komsomolcy wymyślili nową — Pięciomorsk... Że niby będą się tu zatrzymywały statki z pięciu mórz. Początkowo Kozacy się z nich śmiali, ale teraz nawet mój ni z tego, ni z owego wtrąca w rozmowie: „No co, Horpyno, nieźle brzmi ten Pięciomorsk?”

Zadzwonił telefon. Gospodyni zdjęła słuchawkę i zsunęła chustkę z ucha.

— Ależ nie, jeszcze są... Tak, jedzą śniadanie... Albo nie wiem, czy co? Będzie mnie tu uczyć... Powiem, powiem. Zajmuj się swoimi sprawami, a gości podejmować — to już rzecz gospodyni.

Powiesiła słuchawkę.

— To mój dzwoni — niepokoi się, jak was podejmuję... Przyglądał całą duszą do tego waszego kanału i kiedy ktoś z budowy u nas nocuje, całkiem traci głowę. Dobrze, żeście wcześniej usnęli, bo zamęczyłby was gadaniem.

W pół godziny później odjechaliśmy. W żywych promieniach poranku ulica Morska ciągnęła się przed nami dwoma szerokimi rzędami wesołych domków, które jakby stały na palcach na swych murowanych fundamentach. Na środku tej głównej ulicy był obszerny plac, a wokół niego, zupełnie już jak w mieście, wznosiły się duże, ładne budynki: klub, zarząd kołchozowy, żłobek, apteka. Wzdłuż szerokiej profilowanych trotuarów rosły dwa szeregi smukłych drzewek, a spoza nowych niewysokich płotów wyglądały całkiem jeszcze młode sadziki.

Chociaż wszystko to było pokryte wciąż tą samą zielonkawą warstwą kurzu, a stary wozowódca rozwoził od domu do domu w umocowanej na starym samochodziku-cysternie na razie drogocenną tutaj wodę, nie trudno już było wyobrazić sobie, jak z Nadbrzeżnej odsłoni się widok na lazurową przestrzeń wodną i po tej oto ulicy Morskiej jechać będą samochody wiozące do przystani ładunki dla statków przybyłych z pięciu mórz radzieckich.



Aleksander Ziemny

Twarz dwudziestoltnich

Barwne plakaty, fotomontaże nie wszystko ci powiedzą, bo nie zawsze beztroski śmiech i „zapatrzenie w dal bezbrzeżną”. Spójrz jak na placu żywe twarze, napięte w gniewnym okrzyku ostrzegają wrogów młodości, proste, wzruszone i męzne.

W tyglu pionierskiej budowy, w fiołkowej poświęceni palników, jarzy się wzrok nieomylny, strzeże czystości wyników. Jest troska młodego czoła, skupienie uważnych oczu, gdy w trudnych chwilach transfuzji krew się do żył chorych toczy. Twarz ze znużenia obrzękłą orzeźwia upór szlachetny: dziś jeszcze poprawię zeszyt swego analfabety.

Miękkie, dziecięce rysy, potrafią zaostrić się nagle na wieść, że gdzieś na trasie burza zerwała kable. Że trzeba nie tracąc minuty, bez względu na wicher i słońce, jak awangardzie przystało, wykonać zadaną robotę.

Daleko zostały weltschmerze, spowiedzi dziecięcia wieku, gdy młodość nie miała siły, aby iść światu na przekór. Dziś radość dwudziestoltnia obmywa twarze po pracy, grymas i cień lat pogardy nigdy już na nie nie wraca. Lecz często zjawia się czułość, dobre i bliskie spojrzenie. I usta są prawdomówne, każde ich słowo jest w cenie.

Kiedy ci dzień powszedni trudów i trosk nie oszczędza — czytaj w tych twarzach przyszłość jak w pięknej, otwartej księdze.

„YANK-GO-HOME!”

Wielka Brytania w układzie północno-atlantycznym jest tylko jednym z przeciętnych satelitów, na co wskazują jej niepowodzenia na wszystkich odcinkach życia międzynarodowego. Spychanie dumnego Albionu



ze wszystkich rynków światowych, wciągnięcie Australii i Nowej Zelandii — tych klejnotów korony brytyjskiej — w orbitę gwiazdowego sztandaru, lekceważenie opinii angielskiej w rozgrywkach Dalekiego Wschodu i wreszcie wzrost okupacji amerykańskiej na rodzimej wyspie, są tylko nielicznymi przykładami w łańcuchu niepowodzeń polityki angielskiej. Do Wielkiej Brytanii napływają stale nowe oddziały amerykańskich wojsk okupacyjnych, a według



doniesień prasowych stan ten ma ulec w najbliższym czasie 75-procentowemu wzrostowi. Postępowe pismo angielskie „Daily Worker” doniosło ostatnio, że wkrótce Stany Zjednoczone uzyskają łącznie 38 baz strategicznych.

Rysunki obok, szkicowane na gorąco przez angielskiego malarza Paul Hogartha, uzmystawiają prawdziwą postawę społeczeństwa brytyjskiego, szczególnie warstw robotniczych, które manifestują swe nieprzyjemne uczucia wobec nieproszonych gości spoza oceanu. Pierwszy obrazek ukazuje demonstrację uliczną, podczas której robotnicy niosą transparent z olbrzymim napisem „Żądamy zawarcia pokojowego paktu pięciu mocarstw”, obok — na mniejszych transparentach — przebijają się napisy: „My chcemy pokoju”, „Jankesi wynoście się do domu”, „Żadni nienawiści i lęku — spoglądaj na pochód żołnierzy amerykańskiej policji wojskowej. W trzecim rysunku zawarł malarz treść tych słów, które spotkać można na murach wszystkich miast i wsi europejskich, gdziekolwiek tylko stanęła noga żołnierza amerykańskiego. Napis „Jankesi wynoście się do domu”, stał się symbolem i uosobieniem uczuć, które żywi każdy uczciwy człowiek wobec agresywnych zamiarów okupacyjnych wojsk amerykańskich na lądzie Starego Świata.



M. J.

Ziemia niczyja?

Józef Soltys

Tanger stanowi jedyny w swoim rodzaju polityczny dziwolak. Układy w Algieras z r. 1906, międzynarodowy statut Tangeru podpisany w r. 1923, i wreszcie układ paryski z roku 1945 — przekształciły ten obszar oficjalnie w „ziemię niczyją”. W rzeczywistości był Tanger w okresie międzywojennym terenem zacieklej rywalizacji francusko-hiszpańskiej, po drugiej wojnie światowej zaś stał się niepodzielną domeną amerykańskiej finansjery.

Tanger, którego powierzchnia wynosi zaledwie 380 kilometrów kwadratowych, podlega oficjalnie międzynarodowemu zarządowi, na który składają się konsuluje Francji, Hiszpanii, Wielkiej Brytanii, Włoch, Portugalii, Belgii, Holandii i Stanów Zjednoczonych. W rzeczywistości władzę wykonawczą sprawuje amerykański komisarz. Mendoub, arabska reprezentacja kraju, spełnia rolę organu administracji wewnętrznej, a funkcje jego sprawują się do udzielania ślubów muzułmańskim mieszkańcom Tangeru i sądownictwu konsularnemu. Amerykanie — „naród wybrany” — są eksperymentalni i podlegają jedynie ustawodawstwu i władzom amerykańskim.

Swoje dzisiejsze znaczenie zawdzięcza Tanger przede wszystkim temu, że jest to jedyny bodaj kraj na świecie, gdzie nie istnieje podatek, ani żadne restrykcje dewizowe. Nie też dziwnego, że dziesiątki firm amerykańskich i europejskich przeniosły po wojnie swoje oficjalne siedziby do Tangeru, o-

statkach czasach dwa duże lotniska, jedno z nich specjalnie przystosowane do ciężkich samolotów bombowych. Na zarządzenie amerykańskich „opiekunów” 82 proc. budżetu miejscowego (w roku 1951—52 wynosił on 900 milionów franków marokańskich) przeznaczono jest na rozbudowę dróg, kanalizacji i składów portowych. Na 60 tysięcy tubylczej ludności blisko 85 proc. nie umie ani czytać, ani pisać, a liczba łóżek w arabskim szpitalu Tangeru wynosi aż... 35. Siedemnaście nowoczesnych szpitali europejskich i amerykańskich przeznaczonych jest wyłącznie dla „białych” władców. Nic też dziwnego, że wśród miejscowej ludności szerzą się choroby epidemiczne, a śmiertelność wśród dzieci przekracza 85 proc. Nawet reakcyjny dziennik szwajcarski „Neue Zuercher Zeitung” pisał 13 listopada 1951 roku, że „warunki, w jakich żyje arabska ludność Tangeru są po prostu potworne”.

TO SIĘ OPLACA...

W latach 1947—1948 rozpoczęła się opanowanie życia politycznego i gospodarczego Tangeru przez monopolistów amerykańskich. Europejskie filie nowojorskich monopolii posiadają w większości wypadków swoją oficjalną siedzibę w Tangerze, uchylając się w ten sposób od ogłaszania bilansów i opłacania podatków w krajach zmarzłolizowanych. Według nieoficjalnych danych amerykańskie kapitały w Tangerze wynoszą obecnie blisko pół miliarda dolarów. Z górą 4000 firm amerykańskich posiada swoją oficjalną siedzibę w tym mieście.

Od dwóch lat amerykańscy okupanci Tangeru w szybkim tempie rozbudowują miejscowy port, przekształcając go w wielką bazę wypadową agresywnej armii. Koko Tangeru powstały w o-

Wielka baza gospodarcza południa ZSRR

Fr. Hryniewicz

podziwem i radością, czy całego świata postępowego skierowane są na południe Związku Radzieckiego, gdzie naród radziecki pod kierunkiem partii Lenina-Stalina odniósł nowe zwycięstwo — połączył Wołgę z Donem i stworzył wielką bazę gospodarczą południa Ukrainy i północy Kaukazu. Dnia 27 bm. nastąpi uroczysty akt otwarcia że-

budowały się i zmieniały oblicze miasta nadwołżańskie i wyrosły nowe. Nie znane dawniej towary i ładunki wiezie na swych silnych i szerokich barkach „matka” Wołga. Zmienił się również ludzie i innym stał się ich styl pracy. Prawie 2000 km bieży woda Donu od źródeł do swego ujścia. I tu zmieniło się życie.

kontynuować myśl Sellmana II lecz wojna północna ze Szwecją przerwała rozpoczęte roboty. Minęło znowu 200 lat. Dziesiątki razy wylaniały się pomysły połączenia dwóch wielkich rzek. Na drodze stawały przeszkody groźniejsze niż 60—100 km kamienisty przedział wód. Były nim zacofanie techniczne i ekonomiczne carskiej Rosji, ziemie w rękach wielmożów carskich, zależność od kapitału zagranicznego oraz intrygi dygnitarzy kolejowych na dworze carskim.

Projekty Lenina zrealizowane

Wołga - Don podzielił los mnożstwa technicznych projektów carskiej Rosji. Dopiero Wielki Październik wyzwolił siły narodowe Rosji, odrzucił sztuczne przeszkody prywatnej własności i władzy obszarniczo-burżuazyjnej oraz zerwał lichwiarską zależność od banków zagranicznych. Już w maju 1918 roku Lenin włączył przyszły kanał Wołżańsko-Doński do planu gospodarczego w pierwszej kolejności. Mówił on, że kanał trzeba koniecznie zbudować, bo stanie się silnym czynnikiem gospodarczym, który zmieni zacofanie ekonomiczne południowego wschodu Rosji. Dziś kanał stał się rzeczywistością i nosi dumnie imię założyciela i budowniczego pierwszego państwa socjalistycznego na świecie — Włodzimierza Lenina.

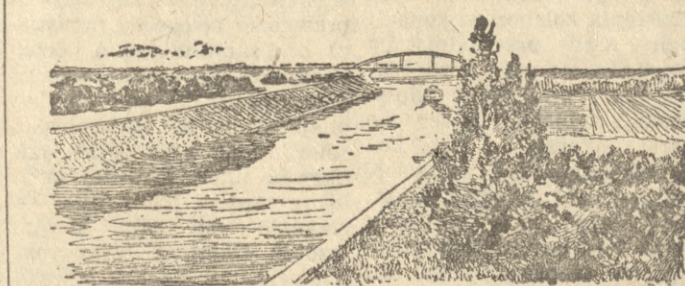
W raporcie budowniczych kanału Wołżańsko-Dońskiego i cymlańskiej hydroelektrowni, złożonym Stalinowi 10 lipca br. czytamy:

„W ciągu 1949—1952 r. zbudowano: Wołżańsko-Doński kanał żeglowny długości 101 km z 13 słuzami, 3 stacjami pomp, 13 zastawami, 7 wodowyrzutniami i wodowchłaniaczami, 2 remontowymi stacjami, 8 mostami, promami, przystaniami i nadkanałową drogą samochodową długości 100 km”.

Poza tym zbudowano cymlańską hydroelektrownię o sile 160 000 KW, nowe linie kolejowe od stacji Morozowskaja do hydroelektrowni i dalej do Kuiberle kolei Stalingradzkiej, ogólnej długości 174 km oraz dodatkowe kanały boczne: Doński długości 27 km, Dolno-Doński — 72,9 km i Azowski — 92,2 km.

Sztuczne zraszanie i sluzy dla ryb

Wody tych kanałów wniosły już nowe życie na stepy południa Ukrainy. Przed rokiem na tej rozpalonej ziemi nie było zieleni. Obecnie w 1952 roku, gdy stacje pomp podały życiodajną wodę na pola, kołchoźnicy zebrali już pierwszy wspaniały urodzaj pszenicy, rozwinęli plantację ryżu i bawełny. Klimat stał się bar-



turecki sultan Seliman II w drugiej połowie XVI wieku. Wielotysięczna armia turecka rzucona została na przekopanie kanału, aby władca turecki mógł Donem przerzucić okręty wojenne na Wołgę i Morze Kaspijskie. I prawie cała ta armia wyniszczona głodem i epidemiami położyła swe kości nad brzegami Donu. Resztki jej nie były już w stanie przyjąć boju z drużynami księcia Srebrnego i uciekły. W 120 lat później w 1696 roku Piotr I chcąc wydestać się na morskie przestworza, prókował

dział łagodny i wilgotny. A jest to dopiero początek, bo pełna realizacja systemów zraszania obejmie 750 000 ha i nawodnienia 2 miliony ha, co nastąpi do 1956 roku. Kołchoźnicy zapewniają, że dadzą państwu z jednego hektara 40 cetnarów pszenicy lub 25 cetnarów bawełny lub wreszcie do 200 cetnarów kartofli.

Człowiek radziecki, budując kanały i wielkie zbiorniki wodne, nie zapominał nawet o rybach. Bo jak ryby mogą dostać się do gór-

nego biegu Donu, gdy stoją na drodze tany i sluzy. Zbudowano więc... windy dla ryb. Zrobiono tunele ze światłem elektrycznym. Gdy ryb nagromadzi się w tunelu pewna ilość, automatycznie podnosi się winda do poziomu wody i oddaje ryby do dalszej ich podróży — do źródeł Donu dla złożenia ikry. Jest to jedyne tego rodzaju urządzenie na świecie.

Otwarty kanał Wołżańsko-Doński ma nieocenione znaczenie dla życia gospodarczego całego Związku Radzieckiego jako tania i skrócona droga tranzytowa. Odtąd statkom pod flagą radziecką nie trzeba płynąć z Morze Białego na Czarne okrążyć całą Europę, iść przez Gibraltar, Morze Śródziemne, Dardanele i Bosfor. Otworzyła się dla nich pięć razy krótsza droga kanałami. Wołgą i Donem. Odtąd leningradzkie maszyny, las Północy, metal Uralu, nafta Baku, samochody Jarosława i Gorkiego iść będą drogą wodną na Ukrainę, Kuban, Kaukaz i Krym. O-

(Ciąg dalszy na str. 3)

Słońce na północy czyli zmartwienia filatelistów

W wyobrażeniu filatelisty pojęcie błędu na znaczku pocztowym kojarzy się zaciętnie z rozmaitymi odmianami, błędodrukami itp. W tym wypadku chodzi nam jednak o błędy innego rodzaju.

Większość Czytelników pamięta bez wątpienia dobrze, wydaną w roku 1947 serię, nazwaną „Świat Pracy”. Pobliża ona chyba rekord błędów. Znaczek 10-złotowy przedstawia kosiarza, który podczas koszenia wysuwa naprzód lewą nogę, podczas gdy normalnie kosi się z wysuniętą naprzód... prawą nogą. Znaczek pięciozłotowy przedstawia hutnika z młotem w ręku. Znaczek za 20 zł pokazuje pracę górnik, który pracuje w kopalni... bosy.

Poważny błąd zawiera znaczek wydany w roku 1945 z okazji I Ogólnopolskiego Kongresu Pracowników Poczty i Telegrafów. Projektodawca bez skrępowań przesunął wieżę ratusza ze strony południowej na północną. Znaczek ten zawiera ponadto wiele innych, ale już drobniejszych błędów.

Bardzo powszechne są błędy na znaczkach marynistycznych. Z reguły — jak u nas na znaczkach wydanych w roku 1925 z żaglowcem, czy też na znaczkach gdańskich z 1921 r. — wiatr wieje z dwóch stron, gdyż wskazują na to wydęte w jednym kierunku żagle i bijące z drugiej strony fale. Na znaczku z roku 1935 przedstawiającym motorowiec, z komina uchodzi dym, gdy przecież służy on wyłącznie do odprowadzania gazów spalinowych.

Bardzo ciekawy błąd zdarzył się naszym czechskim przyjacielom, którzy z przerwaniem spostrzegli pewnego dnia, że słońce wschodzi nagle na... zachodzie, jak to przynajmniej sugerował znaczek z roku 1921 z Hradczynem. Dalej posunęli się jeszcze Turcy, gdyż na znaczku z okazji konferencji bałkańskiej w roku 1938 słońce wschodzi na północy.

W roku 1947 Niemcy wypadek zdarzył się francuskiemu ministerstwu poczt i telegrafów. Wydało ono serię widokową dla Indochin. Dopiero już po wprowadzeniu znaczka do obiegu zorientowano się, że jeden znaczek przedstawia starą świątynię, która znajduje się na terytorium Indochin holenderskich. Znaczek trzeba było na gwałt wycofać. Wiele jednak dostało się już w ręce zbieraczy i figuruje obecnie w zbiorach jako cenne unikaty.

Do ciekawych błędów należy zaliczyć błąd w napisie na znaczku z roku 1923, gdzie zamiast napisu „Konarski” czytamy „Konapski” oraz na znaczku z 1949 r. z podobizną Prezydenta Bieruta za 15 zł, gdzie wyraźnie czytamy „2t”.

JANUSZ KSIĘSKI

RYŻ dojrzeła w POLSCE

Ryż w pojęciu przeciętnego Europejczyka związany jest z krajobrazem Chin i Japonii, z zachownictwem poletek, pilnie nawadnianych przez pracujących chłopów chińskich, lub japońskich. Tymczasem zasięg tej rośliny daleko przekracza granice tych krajów. Indochiny i Indie, Ceylon i Archipelag Malajski, jak również obszary tropikalne położone w innych częściach świata — to obszary uprawy tej rośliny.

W rolnictwie światowym ryż zajmuje pod względem powierzchni hodowlanej drugie miejsce po pszenicy. Według danych Instytutu Rzymskiego uprawa tej rośliny zajmowała w 1938 roku 60 mil. ha. W rzeczywistości była ona większa, wynosiła bowiem około 90—95 mil. ha. Większość zasiewów koncentruje się w Chinach i Indiach. W Europie występuje w krajach południowych jak: Hiszpanii, Włoszech, Turcji, Bułgarii i Związku Radzieckim.

Głównym rejonem uprawy w Związku Radzieckim jest Uzbekistan, Kazachstan, kraj

S. Bernardowski

Zakaukaski i Krasnodarski. Dobre wyniki dają też próbną uprawę tej rośliny na Ukrainie oraz w centralnej strefie Rosyjskiej Federacji. Przesunięcie zasięgu uprawy na północ ułatwia w dużej mierze Dniepr, dzięki któremu poziom wód gruntowych w glebach naddnieprzańskich znacznie się podniósł. W 1936 roku w zalewiskach Bugu (rejon wołnieński) plantacje ryżu obejmowały już 230 ha.

Przykład rolnictwa radzieckiego podzielał zachęcająco na prowadzenie doświadczeń nad aklimatyzacją różnych odmian ryżu w Polsce. Prowadzone od kilku lat, przez Państwowy Rolniczy Instytut Naukowy — Doświadczalną w Puławach oraz jego filię w Gorzowie, doświadczenia wykazały, że niektóre odmiany ryżu szybko przystosowują się do nowego środowiska i wydają dobre plony. W ub. roku z 26 odmian uzyskano w Puławach plony z 20 — wydając od 6 do 64 kwintali ziarna z ha.

Rok ubiegły okazał się przełomowym w uprawie ry-

żu w Polsce — założono bowiem pierwsze większe plantacje tej rośliny. M. in. w Leszkowicach pod Głogowem. Wykorzystując częściowo stare urządzenia irygacyjne — rozbudowano je, zakładając poletki ryżowe na obszarze 6 ha. Pierwszy jednak rok nie był szczęśliwy. Prace melioracyjne rozpoczęto dopiero wiosną, wysiew nastąpił późno, w rezultacie czego okres wegetacji przeciągnął się do października. Nocne przymrozki „zwały” mniej odporne odmiany m. in.: rumuńska, Banloc i włoska Alorio Preccoci. Pozostałe odmiany wydały plony dość obfite, jeśli się zważy, że niektóre wlechy zawierały do 170 ziarn ryżu.

W zespole PGR Czernica, w którego skład wchodzi rów-

szarze 60 ha, co umożliwi uzyskanie z tej powierzchni 2 — 3-krotnych zbiorów w jednym roku.

W Leszkowicach trzeba było stworzyć wokół poletek ryżowych sztuczne zasłony, a to celem otrzymania tzw. mikroklimatu, niezbędnego do rozwoju tej egzotycznej rośliny. Osłony te utworzono wysadzając zwartymi pasami słonecznik odmiany puławskiej, wyrastający do 4 m wysokości. Naomiast plantacje w Czernicy posiadają naturalne osłony w postaci gęstych zadrzewień. Wysokie plony zależą również w dużej mierze od umiejętnej manipulacji wodą. W kanałach głównych zalewa się codziennie na noc każde poletko nagrzane w ciągu dnia wodą, by rano spuścić ją do kanałów odprowadzających. Poza początkowym stadium rozwoju, kiedy poletki trzeba pielęgnować drogą motyczkowania i niszczenia chwastów, a w późniejszych latach wododostów, poza nawożeniem bezazotowym (azot przedłuża wegetację) — a więc nawozami potasowymi i fosforowymi — wymaga ryż szczególnej troskliwości w okresie kwitnienia, przypadającym zazwyczaj w sierpniu. W tym czasie trzeba mu zapewnić minimalną temperaturę 19° C, a to przez zalanie roślin wodą do 30 cm wysokości. Celem zapewnienia w każdej chwili plantacjom dostatecznej ilości wody uruchomiono wiosną br. w Leszkowicach stację samoczynnych pomp typu holenderskiego, z których każda wyrzuca 630 m³ wody na godzinę.

Z pośród kilku uprawianych tu odmian doskonałe wyniki daje bułgarski Kendzo, który w swej ojczyźnie posiada zaledwie 90-dniowy okres wegetacji. W naszych warunkach klimatycznych okres ten nieco się przedłuża. Bardzo plenna okazała się rumuńska odmiana Angosta, posiadająca jednak 140-dni wegetacji. Wartościową jest więc w naszych warunkach — z uwagi na swój krótki okres wegetacji, odmiana Kendzo. Jednym słowem wysiłki naszych hodowców zmierzają do skrócenia okresu wegetacji, by uzyskać plony już we wrześniu, a tym samym zabezpieczyć je przed kaprysmami październikowej pogody.



Dziewczęta z hufców łódzkich SP pomagają przy pielęgnacji upraw ryżowych

Skąd wzięła się nazwa Ameryki?

Kolumb był pierwszy, ale Vespucci miał wężej tupetu

Dr T. Nożyński

Przed 460 laty, 3 sierpnia 1492 r. wyruszył z portu Palos na Atlantyk Krzysztof Kolumb a 12 października doплыł do wyspy Guanahani (San Salvador) w archipelagu Bahama. Taki był początek odkrycia i stopniowego opanowania i poznania Nowego Świata. Kolumb odbył w latach 1492—1504 cztery podróże, lecz dopiero w trzeciej dotarł do brzegów właściwej Ameryki Środkowej (1498). Umarł nieświadom dzieła jakiego dokonał, przekonany raczej, że doszedł za chodnią drogą do Azji. Dopiero po śmierci Kolumba stwierdzono, że odkryte ziemie są nieznanym lądem. W pewnym momencie zaczęto go nazywać Ameryką. Dlaczego nadano mu tę nazwę a nie przyjęła się od nazwiska odkrywcy — Kolumbia?

Aby to wyjaśnić, musimy zapoznać się z inną postacią, z florentczykiem Amerigiem (Americus) Vespucci (1452 do 1512), wykształconym kupcem i agentem handlowo — politycznym Medyceuszów w Hiszpanii. Uczestniczył on w kilku hiszpańskich i portugalskich wyprawach morskich do Nowego Świata i pozostawił listy. Dwa z nich, jeden do Medyceusza z r. 1503 i drugi do przyjaciela Soderiniego z r. 1504 rozpoznały się przedko i zjednaczyły autorowi sławę. Odnajdują się pięknym stylem

i barwnością opisów poznanych krajów. Zawierają jednak wiele błędnych i sprzecznych wiadomości czysto geograficznych, o przebiegu i trasie podróży etc., wskutek czego wielu uczonych wątpi, albo w same podróże Vespucciego, uważając listy za twór literackiej fantazji, albo też w ich autentyczność czyli w autorstwo Vespucciego. W liście do Soderiniego pisze np., że do ładu amerykańskiego dopłynął w r. 1497, a więc na rok przed trzecią podróżą Kolumba. Nie ma jednak poza tym listem innych dowodów, że tak rzeczywiście było. Długie badania i dyskusje naukowe na ten temat doprowadziły do wniosku, że Vespucci wielu z opisywanych podróży wcale nie odbył m. in. nie był też w Ameryce w r. 1497.

Listy Ameriga krażyły wśród czytelników, podczas gdy relacje Kolumba spoczywały w rządowych archiwach hiszpańskich. I Vespucci działał na umysły i wyobraźnię nawet uczonych swej epoki. Lotaryński geograf Waldseemüller umieścił w swej „Kosmografii” (1507) nast. zdanie: „Odkryta została czwarta część świata przez Ameriga Vespucciego. Nie widzę dlaczego, kto i jakim sposobem mógłby zabronić nazwać tę część świata imieniem jej odkrywcy, męża znakomitego umysłu, tj. krajem Amerigo czyli Ameryką”.

Czy Waldseemüller, bądź co bądź wykształcony, nie słyszał nic o Kolumbie albo chciał go poniżyć? Bynajmniej. Był on tylko przekonany, że Kolumb zbadał Azję a Vespucci odkrył Nowy Świat. Było to zresztą zgodne z przekonaniem samego Kolumba, a Waldseemüller, wydając swą książkę zaledwie w rok po zgonie Kolumba, nie mógł oczywiście spojrzeć krytycznie na całe zagadnienie i uległ powszechnemu uwielbieniu dla zasług Vespucciego.

W ten sposób Amerigo Vespucci awansował na odkrywcę a Waldseemüller został „ojcem chrzestnym” nowej części świata — Ameryki. Nowa nazwa rozpowszechniła się dość szybko. Po raz pierwszy pojawiła się America na globusie Norymberskiego Schönerera w r. 1515 lecz tylko w odniesieniu do ładu południowego, co zresztą powtarza się na licznych następnych mapach. Wyjątek stanowi mapa polskiego uczonego z Krakowa Jana ze Stobnicy, który połączył obie części pręsmiakiem i zaznaczył, że opanowały je Ameryki. Ameryki doprowadzi do brzegów Azji. Dopiero Mercator rozciągnął w r. 1538 nazwę Ameryki także na północną część olbrzymiego kontynentu.

Tak oto w 30 lat po śmierci Kolumba sprzeniewierzył się Nowy Świat swemu odkrywcy. Zwyciężył mistyfikator Vespucci a z nazwiskiem Kolumba połączono, jakby na ironię niewielki skrawek Ameryki — Kolumbię.

Po prostu drewno nawinięte na szpulkę

Każda pani domu uważa za punkt honoru posiadanie choćby jednego mebla pokrytego tzw. fornierem, nad którym roztacza troskliwą opiekę przy pomocy różnych, wypróbowanych zabiegów. Nie każda chyba jednak wie dokładnie czym jest owa pięknie błyszcząca i wypolerowana powierzchnia, gdzie i jak powstawała, by efektywnym wzorem czystsze ludzkie oko.

Spojrzymy na drzewa rosnące w lesie — ten pierwotny surowiec naszego fornieru. Osiągają różną średnicę — w najlepszym jednak wypadku rzadko przekraczają 100 cm. A szerokość płyty fornieru często przekracza tę liczbę — pytacie więc co to za „czarna magia” praktykują drzewiarze? Rzecz się wyjaśni gdy wyobrazimy sobie poszczególne drzewo jako wielką, zwiniętą taśmę cienkiego drewna, które przrastając przez kilkadziesiąt lat osiągnęło swą grubość. Wystarczy teraz taśmę ową „rozwinąć” i...fornier gotowy. Praktycznie robią to za nas tzw. łuszcarki czyli rozwijarki, a cały przemysł nosi nazwę przemysłu sklejkowego.

Surowcem w warunkach polskich jest najczęściej pocziwa sosna, chociaż lepsze są fornieri olchowe, bukowe lub topolowe. Dłuższe, czyli okorowane, pełnowartościowe drzewo należy pociąć na krótsze odcinki. Długość takiego odcinka — to szerokość przyszłej taśmy fornieru. Walki owe umieszczone w uchwytach łuszcarki są sprawiane w ruch obrotowy i jednocześnie ostry nóż łuszczy czyli ścina taśmę fornieru o odpowiedniej, ustawionej poprzednio, grubości; praktycznie grubość ta wynosi 1 do 4 mm — najczęściej 1,2 lub 1,5 mm. Eks-

trem doświadczenia wynoszą 0,04 i 10 mm. Wstęgę fornieru tną się nożycami na arkusze, odrzuca się części wadliwe (seki, dziury po odłamkach, owadach etc.), klasyfikuje, suszy a następnie skleja się pod prasą hydrauliczną w sklejki. Sklejki pokryte cienkimi okleinami szlachetnymi (fornierowanie) dają właśnie popularne fornieri meblarskie. Sklejki zwykłe (dykt klejone) składają się najmniej z trzech warstw fornieru, przy czym kierunki włókien są do siebie prostopadłe, przez co likwidujemy niekorzystne dla nas napięcia wewnętrzne w tkance drzewnej, powodujące często tzw. paczanie się mebli litych. Najczęściej grubość sklejki wynosi 4,5 lub 6 mm.

Sklejki mają olbrzymie zastosowanie w przemyśle meblarskim jako gotowe już elementy konstrukcyjne, coraz częściej zastępują w wielu wypadkach drewno.



Meliorant zespołu PGR Czernica reguluje dopływ wody na poletki ryżowe

niez majątek Leszkowice, rozszerzono w tym roku plantację o dalszych 10 ha. Zespół ten, położony w pradolinie Odry na niezwykle żyznych, bogatych w próchnicę madach, posiada możliwości rozszerzenia plantacji do 160 ha. Korzystać on może z istniejących kanałów irygacyjnych, doprowadzających wodę z Odry. Nawiasem należy dodać, że w maj. Leszkowice odbudowuje się urządzenia sztucznej deszczowni na ob-

Czy będzie dziś piękna pogoda?

Przepowiadaniem pogody zajmują się synoptycy, opierający swoje przewidywania na obserwacjach prowadzonych przez specjalnych obserwatorów, mających stałą siedzibę w całym kraju. Nadsyłają oni swoje spostrzeżenia do synoptyka, który po przeanalizowaniu danych z całego kraju, określa jaka będzie ogólna pogoda w całym kraju. Przewidywania takie mogą być bardzo dokładne, gdyż obserwacje pogody prowadzone są przy pomocy precyzyjnych przyrządów. O tym jaka będzie pogoda, zależy w głównej mierze od wiatru i chmur.

Rodzaje wiatrów

Jeżeli chodzi o wiatry, to trzeba rozróżnić wiatry niosące wilgoć i wiatry niosące powietrze suche. W Polsce wilgotne wiatry najczęściej wieją z zachodu i z północy, gdyż przechodząc nad morzami, bez przeszkód niosą wielkie masy wilgoci na ląd, gdzie ją zastawiają w postaci deszczu lub śniegu. Wiatry suche najczęściej wieją z południa i ze wschodu. Na południu wiatr, przynoszący przez łańcuchy górskie zostawia na nich prawie całą wilgoć, a na wschodzie — biorąc początek z rozległych stepów ZSRR też do Polski przychodzi najczęściej jako suchy.

Cheąc sprawdzić kierunek wiatru najlepiej jest to robić z dala od drzew i zabudowań, które wpływają na zmianę kierunku wiatru przyziemnego. Gdy są chmury, to najlepiej jest obserwować ich kierunek. Ukazanie się chmur świadczy o tym, że w powietrzu jest dużo wilgoci i że przy powstaniu odpowiednich warunków atmosferycznych może spaść deszcz lub śnieg.

Chmury dają wskazówki

Chmury dzielą się na trzy podstawowe grupy: pierzaste, kłębiaste i warstwowe. Każde z tych rodzajów chmur daje nam pewne wskazówki, na podstawie których możemy wnioskować jaka będzie pogoda za kilka godzin, czy też nawet za parę dni, i tak:

1. Chmury pierzaste są to chmury lekkie o kształcie piór, lub lekkich smug na dużych wysokościach. Ukazanie się ich prawie zawsze świadczy o nadchodzącej złej pogodzie z dużym prawdopodobieństwem opadów, a na-

wet burz, choć same chmury pierzaste nie dają opadów.

2. Chmury kłębiaste to chmury podobne do wielkiej ilości piany lub kłębków waty. Małe chmury kłębiaste i niezbyt wypiętrzone mogą dać opady przelotne, natomiast silnie wypiętrzone, wierzchołkami sięgające bardzo wysoko zwłaszcza gdy wierzchołki poczynają się rozpylić i zamieniać w chmury pierzaste) niosą silne, krótkotrwałe ulewy, grad i burze.

3. Chmury warstwowe są to chmury rozlewające się po całym niebosklonie, bez kształtne warstwy gęstej mgły. Świadczą one o pogorszeniu się pogody na dłuższy okres czasu. Cienkie i wysoko idące chmury warstwowe nie dają opadów, natomiast grube, nisko płynące warstwy tych chmur dają długotrwałe opady.

Poważne zmiany pogody dają nam tzw. fronty: chłodny i ciepły.

Pierwszy powoduje ochłodzenie się powietrza poprzedzone krótkimi ubocznymi deszczami i burzami. Front ciepły przynosi ocieplenie powietrza, poprzedzone długotrwałym prawdopodobniejsze są znaczne opady.

Fronty atmosferyczne

Podajemy jeszcze kilka danych o chmurach pierzastych zapowiadających zbliżenie się frontu atmosferycznego. Chmury pierzaste zbliżającego się frontu zawsze w pobliżu horyzontu mają miejsce największego skupienia tzw. „bazy” zawsze tylko jedną. Cienkie pierzaste chmury nie mające bazy nie grożą poważnym pogorszeniem się pogody. Im szybciej nadchodzi chmury pierzaste i zmieniają się ich kształty, im bardziej różnorodnie są te kształty i szybsze zgęszczenie, tym aktywniejszy jest zbliżający się front i tym prawdopodobniejsze są znaczne opady. Chmury pierzaste o kształcie fajeczki (zagłębionej łaski) świadczą o zbliżeniu się ciepłego frontu, a tym samym długotrwałych opadów. Chmury kłębiasto-pierzaste mające kształt baranków, są zwiastunami zbliżającego się frontu chłodnego. W tym wypadku w ślad za nimi, lub razem z nimi, pojawiają się chmury w kształcie leżącej soczewicy, odległej od frontu o 200 km.

Odległość chmur pierzastych lub pierzasto-warstwowych od linii frontu ciepłego do-

chodzi do 600 km. Przy froncie chłodnym odległość ta jest mniejsza, a przy zachmurzeniu przejściowym jeszcze mniejsza.

Niektóre zjawiska optyczne

Dobrze rozwinięte i długotrwałe silnie świecące otęcza, zwłaszcza w kształcie pełnego kręgu naokoło słońca lub księżyca, świadczy o zbliżeniu się dłuższych opadów.

Wysoka różowa lub purpurowa zorza wieczorna, świadczą o obecności ciepłego frontu na zachodzie, w odległości od nas 100 do 1500 km. Zorza ta w kształcie okrągłej plamy pojawia się na zachodzie wysoko nad horyzontem wkrótce po zachodzie słońca. Zorza tej nie należy utożsamiać ze zwykłą zorzą wieczorną, która leży nisko nad horyzontem i świadczy tylko o zwykłym zapyłaniu, lub dużej wilgotności dolnych warstw powietrza na zachodzie.

Trzeba pamiętać, że zjawisko wysokiej zory wieczornej nie gwarantuje jeszcze przejścia frontu nad nami. Zależy to bowiem także od kierunku wiatru.

Miejscowe zjawiska burz i ulew

Burze i ulewy to ściśle z sobą związane zjawiska ulewyzające chmurą kłębiastą. O ile w przejściowej porze roku przy dość niskiej temperaturze powietrza obserwujemy chmury kłębiaste, silnie wypiętrzone, bez burzy, ale z umiarkowaną ulewą i silnym wiatrem, o tyle w wysokiej temperaturze silnie wypiętrzone chmury kłębiaste towarzyszą ulewom, silny wiatr i burze z wyładowaniami atmosferycznymi.

Prawdopodobieństwo burzy rośnie w miarę zmniejszania się ciśnienia atmosferycznego, zwiększania się temperatury i wilgotności powietrza. Temperatura +20°C jest jakby granicą. Powyżej tej granicy prawdopodobieństwo burzy wzrasta, a poniżej — maleje.

Im większej wysokości dosięgają wierzchołki chmur burzowych (kłębiastych) tym większy jest deszcz i tym większe prawdopodobieństwo gradu. Chmura gradowa jest bardzo silnie wypiętrzoną chmurą kłębiastą, której podstawa jest koloru popiołu, środek szaro-błękitny, a wierzchołek świeci się w słońcu kolorem szaro-żółtym. Chmura taka pędzi z dużą szybkością i z wielkim szumem. J. G.

Wielka baza gospodarcza południa ZSRR

(Ciąg dalszy ze str. 2)

wrotnie, zboże Ukrainy i Kubania, ryby, owoce południowe i węgiel doniecki, popłyną do południa na północ.

Popłyną statki przez ogromny kontynent

Dumny może być naród radziecki ze swej pierwszej wielkiej budowli komunizmu, która stała się szkołą rzeczywistej komunistycznej pracy. Kanał Wołżańsko-Doński budował cały kraj. Z Uralu i północy Ukrainy ziemne, samochody dawała Moskwa i Mińsk materiał leśny daleka Kama. Cały też naród radziecki bierze radośnie udział w wielkim święcie otwarcia żegludgi na kanale, który połączył dwie wielkie rzeki i otworzył drogę do pięciu mórz.

Niebo w sierpniu

Niebo sierpniowe zdobić będzie sześć jasnych gwiazd: Wega w pobliżu zenitu, Altair i Deneb na Drodze Mlecznej niedaleko południka, Antares nad horyzontem południowo-zachodnim, Arktur na zachodzie oraz Kapella nad horyzontem północno-wschodnim. Na tle Drogi Mlecznej występują następujące gwiazdozbiory: nisko nad horyzontem północno - wschodnim mieści się Woźnica z jasną gwiazdą Kapellą, Perseusz z dwoma gromadami gwiazd, wyżej zaś Kasjopeja mająca kształt litery M. lub W. W pobliżu niej znajduje się Cefeusz, a dalej Łabędź z jasną gwiazdą Denebem. Na wschodnim skraju Drogi Mlecznej mieści się Orzeł z jasną gwiazdą Altair, po przeciwnej zaś stronie Drogi Mlecznej znajduje się Łutnia z jasną gwiazdą Węgą. W gwiazdozbiórze Łabędzia Droga Mleczna rozwidła się: jej zachodnia odnoga biegnie przez Wężownika, wschodnia zaś przez Orła i Strzelca.

Na zachodnim niebie mieści się gwiazdozbiór Herkulesa, obok niego Korona Połnocna, a na zachód od niej Wolarz z jasną gwiazdą Arkturem.

Na północnej stronie nieba widoczny jest Maj Wóz, zaś nad horyzontem północno-zachodnim Wielki Wóz. Między Majem a Wielkim Wozem widać się łańcuch gwiazd Smoka.

Długość dnia w sierpniu maleje z 15 godzin i 35 minut na początku miesiąca do 13 godzin i 45 minut na końcu sierpnia.

Planety: Merkury widzialny na niebie porannym w drugiej połowie sierpnia, przed wschodem Słońca. Wenus świeci na niebie wieczornym jako Gwiazda Wieczorna; zachodzi kilkadziesiąt minut po Słońcu. Mars widzialny jest na niebie wieczornym do mniej więcej godziny 22. Jowisz wschodzi w pierwszej połowie nocy i świeci aż do rana. Saturn świeci na niebie wieczornym aż do mniej więcej godz. 21. **Gwiazdy spadające:** Od dnia 25 lipca do dnia 12 sierpnia rój Perseid, którego największe nasilenie przypada dnia 9 sierpnia.

Zaćmienie Księżyca: 5 sierpnia nastąpi częściowe zaćmienie Księżyca w Polsce widzialne. Wielkość zaćmienia wynosi 0.54 (średnica Księżyca = 1). Początek zaćmienia nastąpi o godz. 18 min. 27, koniec zaś o godz. 23 min. 8 (środek zaćmienia przypada o godz. 20 min. 47).



Widok nieba w sierpniu: dnia 1 o godz. 22; dnia 15 o godz. 21; dnia 31 o godz. 20. Mapa odpowiada widokowi nieba, gdy trzymamy ją nad głową, odpowiednio zorientowaną względem stron świata.

Sztuczne tworzywa codziennego użytku

Piękny z połyskującej masy telefon, słoneczne okulary, polanowe pończochy, torebka itp... stanowią przedmioty nieomal codziennego użytku, odgrywające pierwszorzędną rolę w naszym życiu. Powstały one w wyniku długotrwałych badań nad zastosowaniem w praktyce wyprodukowanych przez przemysł chemiczny mas plastycznych.

Plastyki znane nie od dziś

Młody przemysł mas plastycznych poprzedza bogaty w ich zastosowanie okres historyczny. Jeszcze w dawnych, zamierzchłych czasach narody Azji przy budowie domów i osiedli, a także przy ich urządzeniu używały rzeczy sporządzanych z różnych gatunków smoły pogazowej. Również asfalt, jako materiał wiążący, znany był już 700 lat przed naszą erą wśród Babilończyków, a później z powodzeniem stosowany w Rzymie. Chińczycy i japończycy rzemieślnicy około 392 roku n. e. opisują szereg olejow-smołowych laków, które dopiero w XV wieku, znalazły zastosowanie w Europie.

Do smół znanych w zamierzchłej przeszłości, a przed stawiających obecnie wielkie znaczenie należy bursztyn, wydobywany z dna mórz i szelak, który jest smolą pochodzenia nieroślinnego, otrzymywaną z wydzielin pasożytów, żyjących na tropikalnych roślinach. Smoła ta

odznacza się wysoką twardością i własnościami klejącymi. Bursztyn, pochodzący ze smoły, która w przeciągu długiego czasu znajdowała się na dnie morza, jest przezroczysty o wybitnych własnościach przewodnictwa elektrycznego.

Wielki wkład dla rozwoju chemii mas plastycznych wnieśli rosyjscy uczeni. Między innymi już Mendelejew w „Podstawach chemii” opisując własność metali i metaloidów wskazał na charakterystyczne plastyczne właściwości ołowiu.

700 gatunków upraszcza życie ekonomiczne

Okres ostatnich 30 lat przyniósł poważny rozwój przemysłu tworzyw sztucznych. Asortyment handlowych gatunków mas plastycznych podniósł się do około 700, a prace nad utrzymaniem nowych sztucznych smół doprowadziły do rozbicia produktów na termoreaktywne (przechodzące po ogrzaniu w stałe i nierozpuszczalne związki), kondensacyjne, termoplastyczne (zachowujące przy ogrzaniu płynność i rozpuszczalność) i smoły polimeryzacyjne.

Własności termoplastyczne mas, pozwalające na wszechstronną obróbkę termiczną, przez prasowanie, wyciskanie i walcowanie umożliwiają wyrób taśm filmowych, kauczuku, ceraty i „skór” plastycznych. Ostatnie, są nowym typem materiałów w postaci arkuszy, nadających się do wyrobu torebek. Posiadają wygląd podobny do skóry, lecz przewyższają one skórę przede wszystkim trwałością, jednorodnością i połyskiem.

Produkt wyjściowy masy plastycznej decyduje o jej przystosowaniu technicznemu. I tak tworzywa polietylenowe i polipropylenowe dostarczają obok powszechnie znanego włókna sztucznego, całą masę produktów przemysłu elektrotechnicznego, radiowego i opakowań. Tutaj wymienić należy skrzynki akumulacyjne, radiodiodniowe, artykuły sanitarne, pro-

tezy dentystyczne i chirurgiczne, artykuły użytkowe i galanterijne.

Metody zaś otrzymania termoreaktywnych fenoloformaldehydowych smół znalazły dzisiaj zastosowanie w produkcji części samolotów, instrumentów leczniczych, aparatów telefonicznych, klei do lepienia żelaza, szkła, metali itd.

Wszelkie domieszki do surowców wyjściowych nadają masom swoiste właściwości. Na przykład dodanie tzw. „zmiękczaczy” nadaje tworzywu miękkość, podatność i elastyczność, pozwalającą na otrzymywanie wyrobów typu gumy, do produkcji korka, kaloszy oraz ochronnej odzieży, jak płaszcz, fartuchów i rękawic.

Artykuły przemysłowe przede wszystkim...

Produkcja mas plastycznych jest nierozdzielnie związana z rozwojem przemysłu organicznego. Niestety, w przedwojennej Polsce przemysł organiczny właściwie nie istniał. Nie mieliśmy więc żadnych podstaw, aby rozpocząć produkcję tworzyw sztucznych. Dopiero w okresie władzy ludowej rozbudowa najważniejszych gałęzi przemysłu organicznego pozwoliła na stopniowe podejmowanie produkcji mas plastycznych. A trzeba nam wiedzieć, że masy plastyczne odgrywają wielką rolę w rozwoju naszego przemysłu. Jak już wiemy, bogaty wachlarz produktów plastycznych znajduje zastosowanie w budowie poszczególnych części maszyn, aparatów i urządzeń przemysłowych. Również przemysł gumowy w dużej mierze wykorzystuje surowce plastyczne. Wreszcie produkcja sztucznego włókna „Polanu” umożliwia nam wytwarzanie praktycznej i taniej tkaniny. Dalej przemysł mas plastycznych ma u nas wielkie możliwości jeśli chodzi o produkcję klejów, lakierów i powłok ochronnych. Poza artykułami przemysłowymi także duża ilość luksusowej galanterii wytwarzana jest z mas plastycznych.

Ta różnorodność zastosowania tworzyw sztucznych w gospodarce narodowej, czyni z przemysłu mas plastycznych jeden z czynników naszej ekonomicznej potęgi określonej planem 6-letnim. (Lut)

W 140 rocznicę urodzin pisarza

Józef Ignacy Kraszewski

Wojciech Natanson

Autor „Masława” był; trzeba to przyznać, zawsze poczytny i popularny, ale czytano go trochę mechanicznie i nie zawsze zdawano sobie sprawę z sensu jego twórczości. Zawsze jednak podziwiano pracowitość Kraszewskiego, rozmiary i różnorodność jego osiągnięć. Godne jest zanotowania, że w miarę lat wysiłek pisarza nie malał, lecz rósł, że wydawał on coraz więcej książek — i że były one coraz bardziej interesujące, coraz lepsze. Niezwykła organizacja twórcza Kraszewskiego nie wyczerpywała się — lecz znajdowała nowe źródła inspiracji w ustawicznym i ciągle rosnącym napięciu sił.

Kraszewski miał zawsze duże zainteresowania umysłowe i umiejętność intelektualnego pogłębiania. Był on równocześnie powieściopisarzem i zdolnym, niecodziennie przenikliwym krytykiem. Jego wstępy do utworów szekspirowskich są dziś jeszcze świeże i interesujące. Mało kto pamięta także, że właśnie Kraszewski, pierwszy w Polsce i jeden z pierwszych w Europie, docenił i pokazał prawdziwe znaczenie „Komedii ludzkiej” Balzaka. Intensywności wizji przypomniała mu ona arcydzieła plastyczne mistrzów ze szkoły flamandzkiej. Polemizując z konserwatywnym krytykiem Michałem Grabowskim, bronił wówczas autor „Starej baśni” Balzaka przed zarzutem niemoralności. Ujęcie tych spraw przez Kraszewskiego wyprzedziło późniejsze znakomite sformułowanie pozytywisty Piotra Chmielewskiego: „Literatura powinna być obrazem życia — a nie parawanem”.

Na młodych dorobkiewiczów literackich umiał patrzeć krytycznie — ale odróżniał ziarno od plew. Nie znany nikomu uczeń Jan Kasprzowicz przysłał Kraszewskiemu swe wiersze z prośbą o poparcie. Nasz pisarz nie tylko odpowiada na ten list, ale gorąco popiera wiersze w redakcji jednego z warszawskich pism literackich. Wiadomo też, ile Kraszewski zrobił dla początkującego Moniuszki.

Umiał też Kraszewski wyciągać wnioski z licznych lekcji, jakie mu raz po raz dawało jego własne, bujne i dramatyczne życie. Mając niespełna lat 19 zawiązuje stowarzyszenie patriotyczne w Wilnie, z zamiarem wzięcia udziału w walce o wolność, rozpoczętej powstaniem listopadowym. Przebywa półtora roku w więzieniu, szczęśliwie unikając groźącej mu kary oddania na długie lata w „sołdaty”.

Potem jest kolejno dzierżawcą majątków, gospodarzem posiadłości własnej, kuratorem szkolnym, dyrektorem teatru, współ-

pracownikiem czasopism literackich. Zdaje się, że w tym okresie formuła jest społeczne i polityczne przekonania pisarza. Sprawa chłopstwa każe mu przezwyciężyć opinie własnego środowiska, zbliża go do takich radykałów jak Edward Dembowski. Wydana w r. 1843 powieść „Ułana” miała, jak na owe czasy, ton zdecydowanie postępowy, pokazywała bowiem z całą wyrazistością ucisk chłopów.

Z początkiem lat 60-tych Kraszewski przenosi się do Warszawy, by objąć redakcję „Gazety Polskiej”, wydawanej przez liberalne mieszczaństwo. Hasłem programowym tego pisma, w ujęciu Kraszewskiego, było „równouprawnienie stanów, wyznania, klas społecznych i powołanie do jednaki praw... wszystkich, co z iona ziemi naszej wyszło”. Nic dziwnego, że w styczniu 1863 r., równocześnie z wybuchem powstania, przedstawił program ugodę z caratem — margrabia Wielopolski wydała Kraszewskiego z Warszawy i z kraju.

W roku 1883 sędziwy nasz pisarz odcierpiał jeszcze dwa lata więzienia pruskiego, do którego wtrącił go Bismarck pod kłamliwym zarzutem szpiegowstwa na rzecz Francji, a w istocie chcąc osiągnąć wybitnego przedstawiciela polskiej myśli postępowej. 4 lata przed tym jubileusz 50-lecia twórczości Kraszewskiego skupił dokoła pisarza dużą część naszego społeczeństwa, a zwłaszcza młodzież; wyraził hołd i uznania nadesłali Czesi i postępowi Rosjanie (odczytano list Turgeniewa). Towarzystwo literatów europejskich powołało autora „Szalonej” na honorowego prezesa. Może najmiłszą pamiątką stało się dla pisarza „Abecadło” — chronologiczne zestawienie 50-letniej działalności jubilat... przez K. Estreichera”, wydane nakładem i pracą zarządu drukarni i ceczerów „Czasu”. Ceczerzy krakowscy udowodnili, że rozumieją narodowy i społeczny sens twórczości Kraszewskiego.

Nic dziwnego, że „żelazny kanclerz” feudalno-kapitalistycznych Prus, zaprzysiężony wróg narodu polskiego, przesładowca polskich chłopów w Wielkopolsce i górników na Śląsku, książę Bismarck skorzystał z okazji, by sędziwego pisarza wtrącić do więzienia jako francuskiego szpiega. Przypisywał w ten sposób jego śmierć. Gdy w roku 1887 zwłoki Kraszewskiego przewożono do Krakowa, by złożyć je w grobach zasłużonych, na Skalce, władze galicyjskie każyły to uczynić potajemnie i nocą, by udaremnić gorące manifestacje patriotycznej i radykalnej młodzieży.

Rozmyślenia międzysezonowe

Teatr czeka na transfuzję krwi

Janina Morawska

Upały letnie są jakby antraktem w działalności teatrów. Teatr Polski zamknięty, pracownicy jego się porożędzają, inne sceny nie wysilają się zbytnio, tak jakby wymęczonym w murach miejskich resztkom publiczności chciały oszczędzić nadmiaru wysiłku intelektualnego.

Recenzent też niewiele ma do roboty — pozostaje mu czas na rozmyślenia. Ogląda się wstecz na ubiegły rok teatralny, układa bilans jego pozycji, stara się wywnioskować z różnych znaków na ziemi i niebie, jakie orzechy do zgryzienia przyniesie mu rok następny. Tym razem rozważania te nie są wesołe.

Nie ma co ukrywać — teatry poznańskie przechodzą okres ciężkiego kryzysu. Odbiło się to na recenzjach, gdzie coraz rzadziej brzmi nuda aprobaty, na samopoczuciu zespołu zubożałego o wiele wartościowych sił i na opinii ogółu, która zaczyna traktować nasze teatry z pewną pobłażliwością. Od dawna zapanowała tu jakaś posucha i w zastraszający sposób wpłynęła na obniżenie poziomu spektakli.

Recenzentowi, który „zjeżdża” jakies półamatorskie przedstawienie, nie pozostaje zwykle miejsca, aby rozwozić się nad przyczynami, które powodują to zjawisko. Najczęściej zespół staje się kołem ofiarnym pasji krytyka, skazanego na wygłaszenie przykrych prawd. Ale właściwie powiedziawszy nie zespół tu winę najczęściej ponosi i nie zespół trzeba oskarżać. Sedno sprawy leży gdzieś indziej.

Nie trzeba udowadniać znaczenia scen prowincjonalnych w upowszechnieniu

kultury. To sprawy powszechnie znane. Jest jednak równocześnie faktem, że reżyserów i aktorów — tych najlepszych — pociągają najwyżej stojące ośrodki artystyczne: Kraków i Warszawa. Tymczasem w Poznaniu widzimy, że sceny dramatyczne zapadają coraz bardziej na awitaminozę czy anemię, która gwałtem domaga się transfuzji świeżej krwi. A chwilowo, ani lekarzy, ani zastrzyków nie widać.

Sceny poznańskie nie mogą ani naśladować, ani korzystać z wzorów Warszawy i Krakowa. Nie rozporządzają odpowiednimi siłami. Wojna zdziesiątkowała szeregi aktorskie, zabrała teatrowi siły najlepsze, najbardziej zdyscyplinowane, tak bardzo w tej chwili potrzebne. Rosną kadry młodych, jest między nimi wiele talentów — to prawda. Młody utalentowany aktor, po opuszczeniu szkoły dramatycznej, odbywa pierwszą praktykę sceniczną na scenie prowincjonalnej. Ten stage — to powinna być jego właściwa szkoła rzemiosła aktorskiego i na tym polega drugie, niemniej ważne zadanie teatru. Ale i tego zadania teatr na prowincji wypełnić nie może — przeciwnie najczęściej wyjątkowo talenty, które by potrafiły rozwinąć możliwości adepty, wdrożyć w nich dyscyplinę teatralną i podporządkować ich osobiste, często wybujałe ambicje, tej sprawie nadzrodnej, jaką jest piękna sztuka teatru.

Praca z surowym materiałem aktorskim, pod odpowie-

dniem kierownictwem może dać doskonałe rezultaty. Dwa lata temu Teatr Nowy wystawił „Wczoraj i przedwczoraj” w reżyserii dyr. Karbowskiego. Role główne powierzone zostały zdolnym debiutantom, dla których sztuka ta była startem scenicznym. Start ten wypadł bardzo dobrze, o czym się w swoim czasie obszernie pisało. Była to jedna z najlepszych realizacji sztuki Maliszewskiego.

Ale to było dawno. Od tego czasu sytuacja się skomplikowała. Ubyło teatrowi wiele cennych sił reżyserskich i aktorskich. Reżyserzy, którzy ich zastąpili — między innymi sam dyr. Woźnik — wobec braku protagonistów, zmuszeni są sami grać główne role w inscenizowanych przez siebie sztukach — a takie rozdwojenie kierunku energii utrudnia pracę nad niedokształconym materiałem aktorskim. W naszych teatrach wiele jest młodzieży, wielu też takich, którzy kiedyś coś umieli, ale dawno wpadli w jałową szlamę i powtarzają w kółko ograne numerki. Na miejsce rutynowych sił aktorskich, którzy uciekli do innych, bardziej twórczo ożywionych teatrów — nie podobna tu było zwracać nowych sił, bo do kwestii etatów generalna

dyrekcja podeszła biurokratycznie. Tym sposobem i tak szczupły zespół chudnie coraz bardziej. Na cztery sceny pozostało siedemdziesięciu aktorów, z których większość wymaga intensywniej pomocy reżyserskiej. Taki stan rzeczy odbił się oczywiście na repertuarze i na realizacji. Powstawała konieczność krzyżówek obsadowych, które w rezultacie okazywały się nieporozumieniem i wprowadzały dysonanse w inscenizację. Teatr Polski — scena reprezentacyjna — jeszcze jako tako podtrzymywał „honor domu”, ale na mniejszych scenach zaczęło dziać się nieszczęśliwie. Cóż z tego, że odkryto „Ruchome piaski” Chojnowskiego, który odkrywczy, jak na owe czasy sens społeczny podkreślono wielokrotnie w prasie — kiedy reżyseria, a zwłaszcza nieodpowiednia obsada, ten sens odkrywczy nie umiała należycie wydobyć. Najlepszymi chęćmi ideologicznymi piekło jest wybrukowane, jeżeli nie są one podane w odpowiednim kształcie artystycznym. Reżyser „Króla i Aktora”, wskutek braku odpowiedniego zespołu, również nie mógł w całej pełni zrealizować swoich ambitnych zamierzeń.

Zespół teatru rozrywkowego — Komedii Muzycznej i

cznie z reżyserią — nie jest kompletowany w zależności od swoich specyficznych uzdolnień komedii wchyl i muzycznych: — rekrutuje się przeważnie z nieobitków obsadowych, z pozostałych na liście aktorów po obsadzeniu innych sztuk. Dlatego scena ta spada coraz bardziej do poziomu amatorskiego. To samo i jeszcze gorzej dzieje się z Teatrem Objazdowym, który wskutek tego traci znaczenie „rozpowszechniacza” kultury.

Aby wybrnąć z wyżej opisanego impasu dyrekcja wpadła na pomysł, aby wzmocnić stan ilościowy swego zespołu przez połączenie go z zespołem Teatru Młodego Widza.

Związek ten nie miał wcale na celu — jak nam się początkowo wydawało — podparcie i wzmocnienie walczącej z wielkimi trudnościami sceny młodzieżowej i dziecięcej. Z chwilą zawarcia związku scena ta właściwie przestała istnieć. W zespole Młodego Widza, puszczonego samopas na duże sceny, rozpętały się niezdrowe ambicje. Dotychczasowa pożyteczna i ofiarna praca, powróciła na rodzimą scenkę, wydaje im się już degradacją. A na duże sceny wszedł — i opowiadał bez odpowiedniego przygotowania, bez odpowiedniego kierownictwa, stosując w teatrze dla dorosłych te same chwytły i te same maniere, która niepokoiła już nas na scenie Młodego Widza. Nikt nie pomyślał o tym, aby najpierw przyuczyć i dopasować tę młodzież do nowych zadań. Zespół ten jest pracowity i chętny (są wśród niego jednostki naprawdę talentowane) — ale

nie poddany nowej dyscyplinie, nie przyuczony do nowych metod pracy, zmarnieje i zdemoralizuje się do reszty. A my — widzowie i krytycy — jesteśmy świadkami dość groźnego zjawiska: infantyilizacji teatru dla dorosłych. Jest ze wszech miar niepożądane, aby nowa widownia teatralna identyfikowała się z pojęciem teatru to, co nam pokazano np. w „4:0 dla ATK”.

Miejmy nadzieję, że infantyilizacja teatrów jest letnim przejściowym zjawiskiem, punktem szczytowym kryzysu teatralnego, że potem nastąpi przesilenie i uzdrowienie naszych scen. Niepodobna, aby teatr poznański, który w najcięższych czasach zaborów był twórcą i żywotnym, i z którym związane są najbardziej chlubne tradycje teatralne — miał zginąć na ubiegłość starczy i zdzicinnie nie właśnie teraz, u progu nowej ery, w obliczu nowych, wielkich zadań.

Nie możemy do tego dopuścić: Domagamy się dla niego transfuzji świeżej krwi, zastrzyku nowych sił. Domagamy się inscenizatorów z prawdziwego zdarzenia, reżyserów, pedagogów, którzy nie pozwoliliby zmarnieć utalentowanej młodzieży. Domagamy się wzmocnienia wartościowym materiałem szeregi aktorów. Wtedy dopiero teatr stanie się prawdziwą trybuną idei postępu, zwierciadłem epoki, szkołą kultury, a nie terenem niedolnych produkcji, które niczego widza nie mogą nauczyć, a pozostawiają w nim tylko uczucie nudy i niezadowolnienia.